

Trudne sąsiedztwo

27 czerwca 2008

Stare miasto w Hebronie przypomina twierdzę. Pozamykane sklepy, opustoszałe ulice ogrodzone drutem kolczastym z siatką przysłaniającą niebo. Liczne patrole izraelskiego wojska i policji, jeżdżące co chwilę na sygnale w kolejny punkt zapalny. Nerwowa atmosfera udziela się wszystkim do niego przybywającym.

Moje pierwsze wrażenie związane z miastem Abrahama zdominował Hashem al'Aza. Nie zdążyłem wyjść z samochodu, kiedy zadzwonił prosząc miejscowy zespół EAPPI o jak najszybszą interwencję w jego domu. Musiałem zapomnieć o prysznicu i innych dobrodziejstwach gościnności lokalnego zespołu i ruszyć w okolice żydowskiego osiedla Tel Rumenida.

Hashem ma czterdzieści trzy lata. Wygląda jednak na przynajmniej o 10 lat więcej. Ojciec czwórki dzieci – piąte urodziło się podczas mojego krótkiego pobytu w mieście. Zapadły mi w pamięć jego nerwowe ruchy, rozbiegany wzrok. Sądzę, że mógłby być klinicznym przykładem długoletniej nerwicy. Dostanie się do Hashema nie jest prostą sprawą. Mieszka w tzw. Area 1, gdzie pełną cywilną i wojskową kontrolę sprawuje państwo Izrael, nie zapewniając Hashemowi podstawowego minimum umożliwiającego egzystencję. Hashem nie może swobodnie wyjść ze swojego domu. Główne wyjście na ulice zostało zatarsowane przez jego żydowskich sąsiadów. Hashem musi używać stromej ścieżki między pustymi domami opuszczonymi przez Palestyńczyków, którzy poddali się i postanowili mieszkać w spokojniejszym miejscu. Podwórko przed domem stało się śmietnikiem osadników z domu Barucha Marzela, jednego z przywódców ekstremistycznego ruchu Kachane, którego sympatyk dr Baruch Goldstein zastrzelił w 1994 roku 29 Palestyńczyków i ranił dalszych 150 w Meczecie Ibrachima, zanim został zabity przez tłum modlących się. Współżycie al'Azy z osadnikami to długa historia pełna pobić członków jego rodziny, licznych

aktów wandalizmu: wybijanych szyb, karczowania krzewów, znęcania się fizycznego i psychicznego nad człowiekiem, który chce mieszkać we własnym domu. Przykładem doskonale ilustrującym los Hashema jest decyzja Izraelskiego Sądu Najwyższego z 2006 roku dająca prawu Hashemowi zebrać oliwki ze swojego podwórka, co zostało uznane przez izraelskich sąsiadów za prowokację. Zebranie oliwek z trzech drzewek wymagało obecności izraelskiego wojska, asysty obserwatorów międzynarodowych, ale i tak nie obyło się bez incydentów, które zostały zarejestrowane przez kamery B'Tselem, izraelskiej organizacji ochrony praw człowieka.[1]

Życie Hashema to dokumentacja aktów agresji Marzla i jego zwolenników. Sam Hashem od dawna nie pracuje. Utrzymuje rodzinę jedynie z pomocy jaką otrzymuje od organizacji międzynarodowych i władz Autonomii.

Wizyta w jego domu stała się obowiązkowym przystankiem delegacji międzynarodowych odwiedzających Hebron. U Hashema byli wysocy przedstawiciele ONZ, UE i Rady Europy. Hashem jest zawsze chętny do pokazania zdjęć i snucia opowieści. Ostatnie dziesięć lat jego życia zdominowała dokumentacja jego życia pod izraelskimi auspicjami i układania relacji z swoim „bliskim sąsiadem” – jak sam Hashem określa – Barucha Marzla. Sąsiada nie pozwalającego o sobie zapomnieć – o czym sam się przekonałem.

Moja pierwsza wizyta w domu Hashema to efekt obrzucenia kamieniami posesji Hashem przez młodych osadników. Nasze przybycie wywołało w nich jeszcze większą furję, skierowali pod naszym adresem wiązaną angielsko-hebrajskich przekleństw. Pierwszy raz w życiu zostałem określony nazistą. Jednak największe wrażenie wywarła na mnie siostrzenica Hashema, Fadia. Minęliśmy się z nią. Ona wychodziła, kiedy przyszliśmy sprawdzić sytuację. Wróciła po 40 minutach, blada i przestraszona. Hashem był zajęty pokazywaniem nam filmu dokumentującego niszczenie jednego z sąsiednich domów przez tłum osadników przy biernej asyście izraelskiego wojska. Kiedy

zapytaliśmy co się stało z jego siostrzenicą, Hashem beznamietnie wyjaśnił, że nie zdążyła uciec przed grupą osadników i została pobita – było to dla niego tak oczywiste, że nie wzbudziło w nim żadnych emocji.

Nie pozostało nam nic innego, jak zadzwonić po izraelską policję, która jest zobowiązana do interwencji w sprawach związanych z osadnikami. Żołnierze nie mają w tej materii uprawnień. Hashem twierdzi, że policja działa opieszale i zwykle umarza sprawy nie znajdując winnych. Po naszym telefonie policjanci zjawili się po 20 minutach. Zebrali nasze zeznania i upomnieli, że znajdujemy się w strefie wojskowej i musimy ją jak najszybciej opuścić, i tak do następnego razu. Osadnicy atakują, Hashem dzwoni do nas, my przyjeżdżamy, dzwoniemy po izraelskich stróżów prawa, policja zjawia się na miejscu, prosi nas o opuszczenie terenu i umarza sprawę. Pytaniem pozostaje, kto będzie miał więcej cierpliwości?

W drodze powrotnej z Tel Rumenidy zostaję zaproszony na kawę przez Mahmuda – arabskiego właściciela dużej pralni. Z dumą oprowadza mnie po swoim miejscu pracy, z ciekawością odkrywam, że dużą część ubrań stanowią żydowskie szaty liturgiczne. Mahmud otwarcie przyznaje, że większość jego klientów to żydowscy osadnicy, a on jest tańszy i lepszy niż konkurencja. Pytam go z niedowierzaniem, czy jego klientom nie przeszkadza jego pochodzenie. Mahmud wyraźnie rozbawiony tłumaczy mi, że 80% Żydów mieszkających w okolicy Hebronu to osadnicy ekonomiczni, spośród których wielu to Rosjanie i Tajowie skuszeni szeroką ofertą zapomóg oferowanych przez państwo Izrael i prywatnych darczyńców. Ci ludzie równie dobrze mogliby mieszkać gdziekolwiek indziej, gdyby zapewniono im analogiczne warunki. Jedynie pozostałe 20% to ludzie pokroju Marzela, o których piszą media i tworzą medialny obraz Hebronu. Jednakże Mahmud zdaje sobie sprawę, że jeżeli ekstremiści przyjdą zniszyć jego pralnię, nikt spośród 80% większości nie zaprotestuje. Znajdą sobie inną pralnię. Kto wie, może też arabską?

Autor: Dominik Skorupa

Źródło: [Arabia](#)